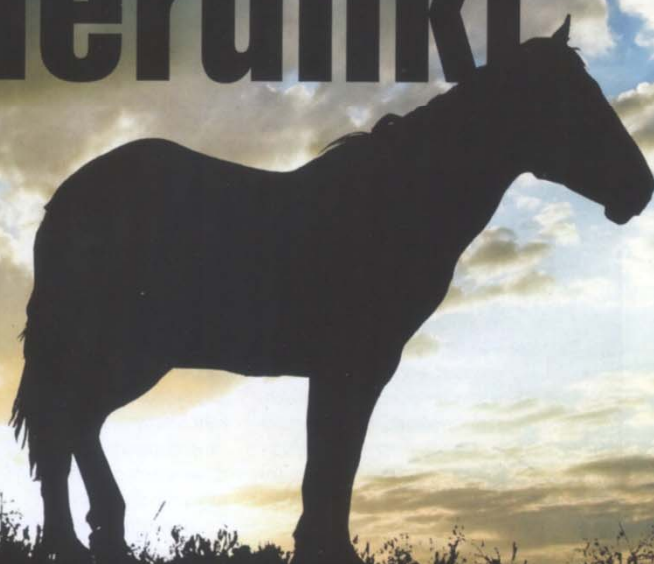


Konie pokazują kierunki

tekst: Iga Gierblińska

Rozmowa
z Agatą Wiatrowską-Wiśniewską



Czego od koni może nauczyć się pracownik banku, korporacji albo makler? Tym pytaniem upraszczam zalety Horse Assisted Education, bo właściwie taki Jan Kowalski, nie biznesmen, ale mężczyzna ze złamanym sercem nauczy się od wierzchowców dokładnie tego samego – odnajdywania drogi w trudnych sytuacjach i rozważni w podejmowaniu decyzji. Kiedyś francuski filozof – Jacques Derrida napisał zdanie, które pasuje do logotypu HAE – „Zwierzę patrzy na nas, a my jesteśmy przed nim nadzy. Możliwe, że w tym miejscu zaczyna się myślenie”.¹ Według założeń kursów HAE, zaczyna się zmiana w nas samych. Ktoś odkrył Amerykę czy zarabia krocie na współczesnej magii?

HORSE DREAM – firma powstała w 1996 roku w Niemczech. Założyli ją Gerhard i Karin Krebsowie. Obecna siedziba znajduje się w Gut Klein Nienhagen, niedaleko Bałtyku. Gerhard Krebs po raz pierwszy wsiadł na konia w wieku 40 lat i od tamtej chwili zupełnie zmieniło się jego życie. Krebsów zainspirowały książki Sally Swift, Lindy Tellington-Jones i Klaus Ferdinanda Hempflinga. Zaczęli

[1] Jacques Derrida, *The Animal That Therefore I Am*.

prowadzić kameralne warsztaty z końmi dla znajomych z korporacji, w której pracowali. Szkolenia przynosiły ulgę sfrustrowanym pracownikom. Dziś, wraz ze stadem koni fryzjskich, funkcjonują pod zastrzeżonym logo Horse Dream i proponują pomoc w rozwijaniu samoświadomości i psychiki. Kierują swoją ofertę do biznesowych przywódców, menedżerów i osób zainteresowanych rozwojem osobistym.

HORSE ASSISTED EDUCATION – metoda rozwoju psychologiczno-społecznej wrażliwości, której podstawowym założeniem jest obcowanie z końmi. Zdobyte podczas szkoleń umiejętności pomagają rozwiązywać problemy w pracy czy życiu prywatnym, budować pozytywne relacje z otoczeniem i rozbudować poczucie własnej wartości.

Agata Wiatrowska-Wiśniewska – założycielka polskiej szkoły Horse Sense zajmującej się kształceniem trenerów metody Horse Assisted Education. Jest oficjalnym trenerem HAE, partnerem Horse Dream, członkiem zarządu międzynarodowego stowarzyszenia European Association of Horse Assisted Education (EAHAE). Od 2005 roku prowadzi szkolenia do-

tyczące budowania relacji, zarządzania zmianą i przywództwa w życiu i pracy zawodowej. **Pamiętasz swoje jeździeckie początki?**

Agata Wiatrowska-Wiśniewska: Dość banalne. Zaczęłam jeździć w wieku 8 lat. Nie zniechęciłam się, mimo że miałam poważny wypadek. Wiedziałam, że jeździectwo to jest coś mojego. Trafiłam do klubu jeździeckiego, w którym konie chodziły na dwóch nogach, a upadki były na każdej lekcji. Zmagalam się wtedy z dużym stresem, wręcz strachem i widzę, że związałam się z tym sportem tylko dzięki ogromnej determinacji i sile, której na całe szczęście nic nie powstrzymało. Szybko moje życie zaczęło kręcić się wokół koni. Jeszcze przez jakiś czas grałam sportowo w szachy, jeździłam na zawody za wschodnią granicę, odnosiłam duże sukcesy, ale kiedy przeszedłam z II do I ligi i miałam pojechać na zawody ogólnopolskie, zrozumiałam, że konik szachowy jest mniej ważny od prawdziwego. Rodzice, by przyciągnąć mnie do domu, postanowili kupić konia. Mieszkaliśmy wtedy na wsi. Stałam się właścicielką Nawy, klaczy dość niewygodnej, upartej, na której nikt nie chciał jeździć. Wkrótce pojawił się drugi koń – żrebna klacz, o czym nie wiedzieliśmy przy zakupie. Następnym był Boliwar, kupiony za cenę mięsa. I tak rozbud-

dowała się kameralna stajnia, do której przychodziło coraz więcej osób, żeby pojeździć konno w zamian za pomoc w opiece nad wierzchowcami. Nawiązały się nowe przyjaźnie. To był drugi dom, który po 10 latach zniknął, kiedy moi rodzice spektakularnie zbankrutowali. Wszystko poszło pod młotek. Wszystko. Nie zapomnę tamtego 23 kwietnia.

Ale udało Ci się z tego wyjść...

A.W-W: Latami to przeżywałam, od jakichś dwóch przestały mi się śnić konie, które uciekały mi z łąki, albo które próbowałam złapać. Nie pamiętam, co się działo ze mną kolejnego dnia po stracie stajni. Pierwsze, co przychodzi mi do głowy, to wieczór, kiedy sprzedawałam jednego z moich ukochanych koni – Emira. Wolontariuszka, która go przejmowała chciała dostać w jego cenie również siodło. Mnie już było zupełnie obojętne, czy zapłaci więcej czy mniej, ale właśnie wtedy wyraźnie poczułam, że coś się zawałilo, że stoję jak na zgliszczach po bombardowaniu Warszawy.

I dalej się upierałaś, by pozostać przy koniach?

A.W-W: Tak. To był bardzo trudny czas i najważniejsze było, by się nie poddać. Siła, która ciągnęła mnie do koni po tym zdarzeniu wybuchła ze zdwojoną mocą, choć nie od razu. Znowu szukałam stajni, ale w żadnej nie czułam się jak u siebie. Uciekłam wtedy z Polski na dwa lata, pracowałam w Niemczech, Londynie, pracowałam też na statku wielkim jak Titanic jako kelnerka. Na stypendium ze studiów trafiłam do Frankfurtu. Pamiętam, że dojeżdżałam wtedy rowerem do stajni nad Mennem, ale dla mnie to było właściwie tak, jakby tych koni już nie było.

Musiałam przejść z zupełnego obalenia się światem koni do ustrukturyzowanej rzeczywistości jazd w rekreacji. Byłam przyzwyczajona do tego, że w kapciach i szlafroku idę do stajni, nawet w nocy i po prostu przebywam z końmi. Potrzebowałam nabrać dystansu do tego, co było.

W jaki sposób trafiłaś na Horse Assisted Education?

A.W-W: Zaczęłam pracować w firmie consultingowej, piąć się po szczeblach kariery i zauważyłam, że po spotkaniach z końmi miałam bardziej otwarty umysł, a decyzje zawodowe, które podejmowałam okazywały się słuszne. Mówiąc krótko – zrozumiałam, że jest jakiś związek między efektami mojej pracy a obcowaniem z końmi. Zaczęłam szukać w internecie jakiejś podpowiedzi, wpisałam hasło „leadership + horses” i trafiłam na stronę europejskiego stowarzyszenia Horse Assisted Education. Światelko w tunelu zaczęło plonać coraz wyraźniej. Pojechałam na konferencję. Było tam ok. 60 osób zajmujących się tym od dawna i przyglądających się tej metodzie, tak jak ja. Tak poznałam Gerharda Krebsa, właściciela firmy Horse Dream, która oferuje indywidualne albo grupowe szkolenia z rozwoju osobistego, na których to konie występują w roli nauczycieli. Zapisalam się do niego na prawie dwuletnie studia i z odpowiednimi tytułami w życiorysie przeszczepiłam na polski grunt wiedzę o HAE.

Ktoś Cię w tym wspierał?

A.W-W: Nie potrzebowałam dopingu. Moja rodzina do dziś podśmiewa się z tego, czym się zajmuję. Wsparcie miałam bardziej międzynarodowe – od osób, od których się uczyłam. W Polsce ludzie, kiedy słyszą o tej metodzie,





robią wielkie oczy, ale to normalne, kiedy ma się do czynienia z ideą, która istnieje dopiero 20 lat na świecie.

Czujesz się tak, jakbyś odkryła w jeździeckim świecie przysłowiową Amerykę?

A.W-W: Raczej nie. Wielokrotnie słyszałam od osób, które brały udział w szkoleniach, że dziwią się, że sami na to nie wpadli, choć kawał życia poświęcili koniom. Myślę, że to jest jak z wynalezieniem żarówki. Wiele osób było blisko tego odkrycia w kilku miejscach na świecie jednocześnie, ale próg przekroczył Edison. To, że akurat mnie udało się przejść podobny próg, choć w innej dziedzinie, jest po części dziełem przypadku.

Znalazłaś polski odpowiednik dla nazwy HAE?

A.W-W: Edukacja wspierana przez kontakt z końmi – tak tłumaczę tę nazwę, ale nie podoba mi się słowo „wspierana”, bo wywołuje skojarzenia z terapią, a to w ogóle nie idzie w tym kierunku. Skojarzenia z psychologią i rozwojem osobistym są właściwe, ale nie z terapią osobistą.

Natrafiłaś na jakieś rafa, kiedy wprowadzałaś tę ideę do Polski?

A.W-W: Właściwie nie. Od początku miałam tzw. dobrą prasę. Na początku nagraliśmy dla Telewizji Polskiej program o coachingu z końmi, w którym wystąpiła aktorka Joanna Brodzik. Gdybym rozrzuciła z samolotu ulotki na cały

kraj, nie wydarzyłoby się nic więcej niż ma się wydarzyć. Poznawanie HAE toczy się swoim rytmem. Jedyną przeszkodą było uczenie się pokory. Od początku chciałam zajmować się tymi szkoleniami mając własny ośrodek i swoje konie. Tego do tej pory nie udało mi się zrealizować, ale mimo to działam dalej.

Jakie konie mogą brać udział w szkoleniu?

A.W-W: Każdej rasy. Dorosłe, nie muszą chodzić pod siodłem, ale muszą być szczęśliwe. Im więcej mają ruchu, tym lepiej. Właściwie nie pracujemy z końmi, które w ogóle nie są padokowane. Przed każdymi szkoleniami poznaję konie i pokazuję im różne linki, zabawki, małe prze-

A.W-W: Dobry trener potrafi pewien sposób uczenia się (siebie), narzucony przez konia, odtworzyć. To nie jest tak, że człowiek nie jest w stanie dostarczyć tego typu doświadczenia. Koń wchodzi z nami w specyficzną relację – niewerbalną, jeśli ma się w niej pojawić dialog, musi to być dialog jeźdźca samego ze sobą. W ten sposób dostrajamy się sami do siebie, do tego, co jest nam w danym momencie w życiu potrzebne. Osoba z zewnątrz może nam pomagać, ale trudno od niej oczekiwać, by porzuciła swoje oczekiwania, opinie, nawyki, które na nas przechodzą. Koń jest jak Budda, nie ma oczekiwań, jest bardziej reaktywny, dla niego ważne jest „tu i teraz”.

■ Nie oczekuję, że wszyscy na początku będą pozytywnie nastawieni. Wierzę w te metody i wiem, że nie wszystkim przypadną do gustu. Nikomu nie staram się wmówić, że świat jest lepszy po tych ćwiczeniach.

szkody, którymi posługujemy się w trakcie ćwiczeń. Ważne jest, żeby nie były uwarunkowane, by zachowywały się spontanicznie. Nie włączam do szkoleń koni, które mogą zachowywać się agresywnie. Interweniuje, kiedy uczestnik jest tak pochłonięty tym, co robi podczas zajęć, że nie zauważa, że koń zaczyna czuć dyskomfort.

Zastanawiam się, jaka jest różnica między koniem – nauczycielem, a trenerem – nauczycielem w budowaniu spójności między myślą, ciałem i uczuciem u jeźdźców.

W jaki sposób przekroczyć ten infantylny sposób komunikowania się końmi, żeby dokopać się do swojego wnętrza?

A.W-W: To nie jest łatwe. Zwłaszcza w codziennej rzeczywistości, w natłoku obowiązków. Warsztaty HAE porównuję do przestrzeni, która jest przeznaczona wyłącznie do tego, żeby czegoś się o sobie dowiedzieć. Dopóki nie wejdziesz do niej, nie możemy zacząć całego procesu poznawania. Ci, którzy przychodzą na zajęcia pierwszy raz, muszą zwolnić trochę myślenie, oderwać się od „powsze-

dniego" siebie i skoncentrować się wyłącznie na tym, jaka będzie interakcja z końmi. Trudno jest wykorzystywać techniki pracy nad rozwojem osobistym, kiedy umysł jest bardzo zaangażowany. Podczas warsztatów nie pada polecenie ani prośba: „Wycisz swój umysł” – to tak nie działa. U każdego wydarza się to samoistnie i w innym tempie. Takie zajęcia służą też temu, żeby ludzie mogli spojrzeć na siebie w inny sposób, żeby wzbudzili w sobie zainteresowanie odmiennością. Opisanie tego, co się dzieje podczas warsztatów na poziomie osobistego doświadczenia, jest karkołomnym zadaniem.

Nie zawsze obcy ludzie przypadną sobie do gustu. Selekcjonujesz warsztatowiczów?

A.W-W: Jeśli są to zajęcia grupowe, a osoby są z jednej firmy, to nie. Na szkoleniu otwartym pojawiają się ludzie, których nie znam, więc jest niewiadomą, co się wydarzy. Różnice zdań między uczestnikami zajęć można świetnie przekuć na uczenie się o sobie. To całkiem twórczy i bezpieczny sposób na zrozumienie swoich zachowań. Patrząc na to z boku widzimy konia, którego prowadzi się na linie i każda z osób robi to inaczej. To jest spotkanie ludzi, którzy mogą, ale nie muszą wykazać się kreatywnością, umiejętnością analizowania pewnych zachowań. Konflikty, jeśli się zdarzają, nie są poważne. Ciekawe jest zawsze, dlaczego powstaje na zajęciach jakiś zgrzyt. Po co? Skąd się wziął? To jest taka piaskownica, w której można pobawić się tym, kim się jest.

Jak wyglądają te szkolenia?

A.W-W: Zwykle przyjeżdża ok. 6-8 osób. Zaczynamy od przedstawienia się i przyznania, co kto sądzi o tym, że szef firmy, w której koń jest trenerem. Bardzo często słyszę, że sama myśl o tych warsztatach śmieszy ludzi i wprawia w zakłopotanie. Zresztą, nie oczekuję, że wszyscy na początku będą pozytywnie nastawieni. Wierzę w te metody i wiem, że nie

wszystkim przypadną do gustu. Nikomu nie staram się wmówić, że świat jest lepszy po tych ćwiczeniach. Od razu idziemy na pierwsze zajęcia, które polegają na obserwacji koni. Zadaniem jest wybranie swojego ulubieńca, opisanie go i próba ustawienia wśród nich hierarchii. Później to omawiamy. To jest pierwszy moment, kiedy fundamentalne założenia tej metody są zauważane przez uczestników. Jedno z nich jest takie, że każdy mówi o tym, co zobaczył w konkretnym koniu, mówi o własnym świecie.

Załóżmy, że tak opiszę konia: w kłębie ma 173 cm, kary, z gwiazdką na głowie, jedną skarpetą. No i ma może zwirowane spojrzenie. I będę się upierał, żeby zajęli miejsce bliżej początku w hierarchii. To jestem ja?

Mam wrażenie, że istnieje jeszcze jakiś potencjał w tej relacji człowieka z koniem, nieodkryty, który zapala się przez takie osoby, które nie wiadomo skąd się pojawiły, nie wiadomo, jak głęboko czują konie i zapraszają do takiego myślenia o koniach, które je ocala.

A.W-W: Nie przekłada się tego w skali 1:1. Gdybyś tak zapytała mnie na szkoleniu, odpowiedziałabym ci pytaniem, czy to może mieć przełożenie na twój świat. Ty musisz to ocenić, ja w ogóle nie występuję w roli osoby interpretującej twoje wnętrze. Te warsztaty udostępniają doświadczenia, z których dowiadujemy się czegoś o sobie i nikt nie narzuca przy tym swojego zdania. To ty jako uczestnik decydujesz, czy znajdziesz w tym dla siebie inspirację.

A ustawienie hierarchii czemu służy?

A.W-W: Można zrozumieć, jakie cechy są dla kogoś istotne przy ustawianiu kolejności ważności ludzi, wartości itp. Może się okazać, że ktoś wybrał karego konia na lidera, a ktoś go umieścił na ostatnim miejscu. Dla jednego przywódca powinien być dominujący, wyrazisty, energiczny, dla drugiego powinien mieć

odwrotne cechy. Często wywiązują się dyskusje między uczestnikami na temat idealnego lidera.

Jakie jest kolejne ćwiczenie?

A.W-W: Zwykle jest to „kierować i być kierowanym”, które polega na prowadzeniu konia na linie po bardzo prostej trasie. Każdy idzie z koniem, którego wybrał. Dla każdego liczy się coś innego, czasem nawet przejście z punktu A do B nie jest najważniejsze, tylko to, co wydarzy się w trakcie wspólnej drogi. Nagrywamy to i omawiamy emocje.

Podobno na placu ustawiane są przeszkody imitujące trudności, z którymi spotykamy się w życiu. Jak wyglądają?

A.W-W: Pojawiają się podczas ćwiczeń „zorientowanie na cel”. Każdy myśli o swoim. Jeśli

to grupa z korporacji, to ktoś może planować np. otworzenie kolejnej sieci sklepu. Wie, że musi znaleźć do tego miejsce, zatrudnić ludzi itd. Na placu ustawione są trzy małe przeszkody, albo jakiś slalom między pacholkami, przejście przez cavaletti i jest koc, który symbolizuje cel. Każdy ma wybrać trasę do niego. Zdarza się, że ludzie łączą te przeszkody z tymi, które wcześniej ustalili, ale są tacy, którzy nie potrafią w ten sposób myśleć i od razu zmiernają do celu. Podsuwam pewne propozycje na wykonanie ćwiczenia, ale jeśli ktoś ma ochotę wykonać je po swojemu, to proszę bardzo.

Można wsiąść na konia?

A.W-W: Wsiadania nie ma. Kiedyś było związane z tym ćwiczenie, ale je usunęłam.

Dlaczego? Nie postrzegasz uczestników szkoleń jako jeźdźców?

A.W-W: Nie. Jeśli koń ma być trenerem, musi mieć pełną suwerenność. Pewnie istnieje taki moment, w którym dosiadanie koni nie narusza tej niezależności, ale to dotyczy długotrwałych, dojrzałych relacji. Poza tym, na zajęciach nie ma czyszczenia, siodłania koni. One są zupełnie wolne i ludzie też. W tym tkwi moc tej relacji. To jest spotkanie dwóch postaci, których wolność nie oznacza deptania sobie nawzajem.

Od razu przypomina mi się fragment z „Dzienników” Witolda Gombrowicza, który człowieka na koniu porównywał do małpy na krowie, zaś współczesną jazdę konną tłumaczył jako powtarzanie zachwyty naszych dziadków. Według niego, objanie tyłka służy idiotycznemu czczeniu pewnego mitu. Zgodzisz się z tym?

A.W-W: Nie, ale mam duży dylemat w tej sprawie. Marzę o tym, żeby możliwa była jazda



w pełnym partnerstwie z koniem. Gdybym miała pójść do jakiejś stajni pojeździć, musiałabym iść na ustępstwa, bo nie znam konia, bo może akurat tego dnia on nie ma ochoty na jazdę itd. Trudno mi uwierzyć w taki idealny obraz. Aktualnie nie jeżdżę od 3-4 lat. Ciągnie mnie, żeby wrócić na koński grzbiet, ale co próbuję, to dochodzę do wniosku, że tak nie chcę. I nie umiem też powiedzieć, czego dokładnie nie chcę, jeszcze dużo jest we mnie wątpliwości, nieokreślenia. Na pewno zniechęca mnie fakt, że nie wiem, kiedy działam wbrew koniowi, kiedy wyrządzam mu krzywdę. I z tymi zastrzeżeniami mogę w ogóle się nie uporać. Im częściej obcowalam z końmi, które są źródłem inspiracji, są niezależne, dba się o ich niezależność i widzę, jak wiele dobrego robią dla ludzi, zaczęłam mieć kłopot z przestawieniem się na zwyczajne jeździectwo. Teraz końmi nasycam się podczas szkoleń. Patrząc na swoje życie widzę, że w siodle siedziałam właściwie wtedy, gdy nie miałam bezpośredniego, intymnego z nimi kontaktu.

Mówisz, że na szkoleniach ludzie uczą się przywództwa. To proszę cytować z „Małego Księcia”: „Przywódca to nie ten, co ocala innych, ale ten, który ich wzywa, aby jego ocalili”. Widzisz tu jakieś nawiązanie do HAE?

A.W-W: Zauważyłam, że jest pewien rodzaj relacji z końmi, które mają osoby nie ze świata jeździeckiego, która ma w sobie coś cennego dla osób, które do niego należą. Zdarzają się ludzie z olbrzymią wrażliwością, którzy swoim zdziwieniem pewnymi zachowaniami potrafią coś otworzyć w jeźdźcach. Mam wrażenie, że istnieje jeszcze jakiś potencjał w tej relacji człowieka z koniem, nieodkryty, który zapala się

Często ludzie szukają jakiegoś mentora, guru, który wskaże im drogę, narzuci jakiś schemat myślenia. Nazywam to „guromanią”. I ostatnią rzeczą, jaką chciałabym zrobić, to być dla kogoś takim guru. I koń też nie ma nim zostać.

przez takie osoby, które nie wiadomo skąd się pojawiły, nie wiadomo, jak głęboko czują konie i zapraszają do takiego myślenia o koniach, które je ocala. Tylko, że to zagraża utartym zwyczajom, wpędza w dylematy, o których mówiłam. Pamiętam jedną z uczestniczek, która jeździ konno, a jej córka startuje w zawodach. Już po pierwszym dniu warsztatów podeszła do mnie i powiedziała, że myśli o tym, co robi z końmi ona, jej córka i o tym, co się wydarzyło teraz na szkoleniu i widzi, że te dwa światy się nie dodają. Chyba chciała, żebym uspokoiła tę „nową ją”, żeby mogła wrócić do tego, czym się zajmowała. Mogłam powiedzieć jej tylko jedno: przykro mi, nie ma odwrotu.

- ?

A.W-W: Nie jestem zwolenniczką radykalnych rozwiązań, te wszystkie rozważania nie są w systemie zero-jedynkowym. Ale prawdą jest, że na warsztatach poznaje się zupełnie inną, nową rolę koni.

Czy zamiast „horse” w nazwie HAE, mogłoby pojawić się inne zwierzę? Może „dog”?

A.W-W: Myślę, że nie. Koń od wieków odgrywał ważną rolę w codzienności człowieka. Pojawia się w mitach, baśniach. Jego symbolika jest bogata. Oprócz tego jest udomowione,

Już po pierwszym dniu warsztatów podeszła do mnie i powiedziała, że myśli o tym, co robi z końmi ona, jej córka i o tym, co się wydarzyło teraz na szkoleniu i widzi, że te dwa światy się nie dodają.

można powiedzieć, że szuka kontaktu z człowiekiem, a jednocześnie jest bardzo niezależny. Poza tym, konie świetnie czytają naszą komunikację niewerbalną.

Mogą się pojawić głosy, że HAE – tak jak jazda konna – jest deptaniem wolności koni, które przecież nie są przeznaczone do tego, by uczyć ludzi, jak dążyć do celu...

A.W-W: Tak samo możemy rozmawiać o ludziach pracujących w korporacjach – czy ta praca niszczy ich wolność czy nie.

Czy tylko pracownicy korporacji są grupą docelową?

A.W-W: Główną, ale można wziąć udział w szkoleniu indywidualnym – dwudniowe warsztaty „Inspiracje i wyzwania”, na które zapisują się ludzie, którzy chcą coś w życiu zmienić, poszerzyć perspektywę myślenia o sobie i o innych.

Jakie życiowe maksyimy idą w parze z HAE?

A.W-W: Uczymy się przez całe życie. Siebie. Niezależnie od sytuacji. Mniej znaczy więcej – to hasło Horse Dream, czyli tendencja

Mam wrażenie, że najlepsza komunikacja jest wtedy, kiedy ludzie się po prostu zamkną...

A.W-W: Obserwuję pewną niemoc werbalną, ale widzisz, jedna osoba musi mówić, inna musi być ciszej, kolejna musi milczeć, żeby do siebie dotrzeć. Konie pokazują kierunki.

Co trzeba zrobić, żeby zostać trenerem HAE?

A.W-W: Wziąć udział w podstawowym warsztacie trenerskim, zobaczyć, z czym to się je i podjąć decyzję, czy to jest właściwa droga. Jeśli stwierdzimy, że tak – można zrobić licencję Horse Dream i po roku zacząć pracować zawodowo. Poza Krebsem są jeszcze dwie osoby na świecie upoważnione do wydawania certyfikatów, m.in. ja.

Kursy kosztują 1500 euro...

A.W-W: To jest cena ustalona międzynarodowo. Przez 5 lat proponowałam promocyjną cenę 2 000 PLN. Z 50 osób, które ukończyły kurs, może 3 rozpoczęły działalność. Jeśli ktoś chce wyrobić sobie zawód, to 1500 euro, to jest mało. Jeśli ktoś kieruje się tylko ciekawością, to rzeczywiście jest to duża kwota, ale ja też nie chciałabym mieć przypadkowych osób na zajęciach. Czasami zdarzają się ludzie, którzy trochę ze mną flirtują, są ciekawi, czy ich przekonam do tej metody pracy, a ja wtedy flirtuję z nimi i mówię, że to nie jest warte ich czasu. Jakies 20% osób rzeczywiście przejmuję pałeczkę i rusza dalej z nową wiedzą. Biorąc pod uwagę, że wystarczy 10% ludzi, żeby zrobić rewolucję, ten wynik to całkiem sporo...

Kiedy byłaś szkolona na trenera, nie miałaś chwil zwątpienia?

A.W-W: Miałam. Bardzo brakowało mi omawiania, interpretowania doświadczeń. Krebs właściwie nic nie mówił. Wkurzało mnie to. Ale zrozumiałam, że w inny sposób nie znalazłabym swoich doświadczeń.

Plany?

A.W-W: Zakładamy nową stronę – Centrum Innowacyjnej Edukacji, które będzie proponować warsztaty w trzech kategoriach: kariera, antykariera, ja w innych, inni we mnie i warsztaty związane z wewnętrznymi drogami, przemianami. Wszystko ściśle związane z rozwojem osobistym człowieka. Mam nadzieję, że na wiosnę wszystko będzie gotowe.

PRZYDATNE LINKI:

www.horsesense.pl
www.horsedream-international.com
www.eahae.wordpress.com
www.coachingwithhorses.com